Stary... żart

Józefa Sawicka

„Kraj“, Warszawa, 1866

Pobrano z Wikiźródeł dnia 16 marca 2026

STARY.... ŻART.

Orkiestra grała walca. W obszernej sali zebrane było prawie cale towarzystwo kąpiące się, pijące wody; bawiące się, słowem wszyscy, których choroba czy nuda zagnała na letni sezon do N. Zabawa dosięgała zenitu. W sali duszno było od licznych lamp, od ognistych ramion, od policzków jaśniejących niekłamanym rumieńcem. Przez otwarte okna wyglądały z parku liczne głowy widzów i gałęzie drzew, poruszane co chwila tłoczącym się tłumem.

We drzwiach, prowadzących do balowej sali, dwaj bohaterowie kotylionu stali oparci niedbale o ramy drzwi. Piersi ich, przykryte śnieżną bielizną, poruszały się zwolna, akuratnie, szermierze tedy nie byli zmęczeni. Półsenne oczy, znudzenie w twarzach wykazywały, że i do dalszych zapasów stawać nie myślą. Uzbrojeni w *pince-nez* przyglądali się kolejno tańczącym i grającym w karty, przedewszystkiem zaś ziewali, przykrywając usta kapeluszami.

— Pfuj! duszno! będziesz tańczył?

Zagadnięty wzruszył ramionami pogardliwie.

— Sezon liczny w tym roku!

— Tak, jak na nasze nędzne wody! „Z towarzystwa“ niema prawie nikogo, sama... mięszanina!

— Może jeszcze przybędą. Wczoraj przyjechał jenerał T. z rodzina.

— Będzie tu dziś!

— Nie sądzę, zresztą — może!

Zamilkli. W tem jeden przypomniał sobie coś bardzo pocieszającego, uśmiechnął się.

Przygryzając jasny wąsik, szepnął słów kilka do ucha sąsiada.

— Czy być może? odrzekł tenże z miłem zdziwieniem. Nic o tem niewiedziałem!

— Przybyły przed godziną zaledwie, ale... towar już rozpakowany!

Zaśmieli się obaj, podnosząc zlekka brody do góry.

— Czy jest co pikantnego?

— Hm, zbrakowane egzemplarze ogródkowe.. parę szansonistek... świecą zdaleka. Nie miałem czasu zblizka się przyjrzeć. Zresztą na bezrybiu...

Twarze ich spoważniały; wyprostowani przybrali postawę pełną uszanowania. Z pod werendy wychodziły dwie młode kobiety; ze stroju i twarzy wyglądały jak bliźnięta, chociaż lepiej poinformowani utrzymywali, że była to matka z córką. Obie szczupłe, małe, świeżutkie blondynki z przymrużonemi oczyma, z włosami pokrytemi pudrem, ciągnęły za sobą po parę łokci niebieskiej materyi; za to na staniki i rękawy nie wystarczyło widocznie. Białe, gazowe szale przykrywały niby obnażone plecy i ręce Przesunęły się z szelestem przez pokój, gdzie grano w karty, a wchodząc do sali, obrzuciły kompetentnym wzrokiem obu — niezwyciężonych. Za paniami podążał

mężczyzna nie młody, wysoki, chudy, viveur épuisé, policzki miał zżółkłe, zapadłe, cienki, orli nos, włosy ciemne, rozdzielone z tyłu głowy i bardzo akuratnie przyczesane na skroniach, bez zarostu, usta wązkie, szczelnie zamknięte; trzymał się prosto, idąc suwał trochę sztywnemi nogami, pomimo to, ruchy miał wykwintne, a w całej postawie dygnitarską powagę. W pętlicy fraka kryła się niby orderowa wstążeczka, dość widoczna, żeby wzbudzić należne uszanowanie. Stojący kołnierzyk koszuli podtrzymywał dolną szczękę, jemu to może zawdzięcza dygnitarz szczególniejszy sposób trzymania głowy, niedozwalający spostrzegać niższych od siebie i zupełnie małych, natomiast z zupełną swobodą zwracać się do równych i wyższych. Zatrzymał się we drzwiach: jedną ręką przyciskał kapelusz, drugą próbował szkiełko na nosie umieścić, po daremnem usiłowaniu zaniechał pracy, szkiełko zsunęło się po kamizelce. Gołem okiem obrzucił stojących mężczyzn, z niektórymi zamienił sztywny ukłon, bez uśmiechu, z lekkim marsem na czole. Oparł się ramieniem o drzwi, prawą nogę trochę naprzód wysunął, z wyciągniętą szyją zaczął się przyglądać tańczącym. Kilka ognistych spojrzeń zwróciło się w jego stronę, zmrużył oczy jak kot, któremu drzemkę przerwano. Zalatywała od niego woń wybornego cygara; z pod rozchylającej się nieco koszuli, na piersiach widniał czerwony trykotowy kaftanik i takież rękawy wyglądały z pod szerokich mankietów. Zaledwie parę minut zostawał w roli zwykłego widza, gdy dyrektor klubu z kartami w ręku, śpiesząc do sali, potrącał zlekka wszystkich, którzy mu drogę tamowali; nagle

spostrzegł dygnitarza, zatrzymał się i nim przemówił, wyciągnął ku niemu rękę z kartami, skłoniwszy się kilkakrotnie. Muzyka zagłuszyła słowa, a tylko tytuł „jenerała“ wymówiony dobitnie, obił się o uszy obecnych. Jenerał oddał ukłon, ale wyciągniętych ku sobie kart nie dotknął.

— Niezdrów jestem. Nie mogę służyć panom, odrzekł z powtórnym ukłonem, i nie czekając nim odejdzie uprzejmy gospodarz, odwrócił głowę ku sali.

Zmęczone pary wychodziły tłumami, i pozycya we drzwiach stawała się niedogodną. Jenerał ustępował, zatrzymując się co chwila, stanął nakoniec w zupełnie bezpiecznem miejscu około pieca, odetchnął i zwrócił się ku karcianym stolikom. Za zbliżeniem się jego, jakby na widok groźnego widma, przy stolikach zapanowała cisza, gracze zsunęli się na brzeżki krzeseł, podnosili się i przysiadali na znak uszanowania; pasowano i wistowano dyskretnie; przed każdem stanowczem słowem, zwracano głowę ku niemu, z niemem zapytaniem, jak w tym razie postąpiłby szanowny świadek? Ci, przy których stawał, uchylali się, dozwalając mu zajrzeć w karty, podnosili oczy ku niemu dla przekonania się, czy raczył spojrzeć. Jenerał jakby nie dostrzegł usłużnej gotowości grających; z rękami założonemi za plecy, z brodą opartą na sztywnym kołnierzyku, przechodził od stolika do stolika; zatrzymał się chwilowo, ale na karty mało zwracał uwagi, a lustrując grających zdawał się szukać znajomych twarzy. Przy jednym stoliku, gdzie pp. Moll, Żuk, Komar i Żaba, ułożyli harmonijną puleczkę, przystanął dłużej: gracze byli mu

znajomi, grano trochę poważniejszym kuszem. Uścisnąwszy w milczeniu podane sobie ręce, oparł się dłonią o poręcz krzesła i z głową przechyloną na bok, przyglądał się grze przez chwilę. Wnet usłużni goście pośpieszyli ku niemu z dwoma krzesłami naraz. Gospodarz zadyszany, spotniały, stanął przed nim powtórnie z kartami w ręce; uśmiechał się z przymileniem, a z oczu mu patrzyło, że kilka lat życia oddałby za to, żeby zgrać pulkę z jego ekscelencyą. Jenerał spojrzał przez ramię na podane sobie krzesła, potem utkwił wrok w promieniejącą twarz gospodarza, pozwolił mu wysapać się i odezwał nakoniec:

— Niezdrów jestem, nie mogę służyć panom — przyczem podbródek zadrżał mu zlekka od tłumionego uśmiechu.

Gospodarz ustąpił, skinął gniewnie na lokaja, ustawiającego świece na świeżo rozłożonym stoliku! Lękając się trzeciego ataku, jenerał obszedł stolik dokoła, w drodze zapiął frak, wyjął z kapelusza biały fular i z podniesioną głową, z oczyma utkwionemi we drzwi werendy, wyszedł.

Na progu owinął szyję fularem, nałożył kapelusz i sięgnął po cygaro do bocznej kieszeni. Obecni już się domyślili o co mu w tej chwili najwięcej chodziło!

Nie zdążył jeszcze wydostać cygara, a już sześć zapalonych cygar i papierosów, jak sześć luf zwróciło się w jego stronę. Przyjął pierwsze z brzegu, zapalił swoje i skinąwszy głową, zeszedł po stopniach dzielących werendę od parku. Jasna noc letnia napełniała park szarym zmrokiem; ulice wyglądały jak tunele o ciemnych wonnych

ścianach, przysłonięte w górze krzyżującemi się gałęziami rozłożystych drzew, przez które migały tysiące gwiazd, a gdzieniegdzie wśród gałęzi, majowe robaczki płonęły jakiemś tajemniczem światłem. Jenerał szedł czas jakiś bezmyślnie z cygarem w ustach, poprawił rękawiczki, klepał się po żebrach, w końcu myśl rozpraszana samotnością zaczęła fermentować.

— Spałem dziś zadługo po obiedzie... to źle! W nocy spać nie będę... chyba że się zmęczę przechadzką! Wątpię jednak, przeczuwam, że będę miał noc złą! I w żołądku niedyspozycya jest... maleńka! Ale od czego? Zdaje się, nie jadłem nic, coby ją wywołać mogło? Trochę zupy, pieczyste, kompot... rzeczy lekkie i strawne... Wzruszył ramionami. Hm, może jagody? Zjadłem kilka truskawek... Nadal trzeba będzie i tego się wystrzegać! Westchnął. Teraz na wieczerzę jeden kotlecik cielęcy i trochę szparagów... kotlecik i szparagi... nic więcej, dobrze byłoby i od tego się wstrzymać? Głos wewnętrzny oparł się stanowczo tej propozycyi. No, niech tam! kotlecik i trochę szparagów — wina żadnego, lepiej pół kieliszeczka koniaku!... Za dni parę zacznę kuracyę, trzeba dobrze usposobić żołądek! Żebyż ten gap nie zapomniał wygrzać flaneli na nogi! Wczoraj położyłem się w zimnej pościeli! Z nogami źle!... kostnieją! W kaloszach zawiasy się popsuły... Starość! Uśmiechnął się. Starość to szlafrok życia; wygodna rzecz byłaby, żeby zdrowie służyło! Przy ostrożności, jeszcze takich latek dwadzieścia przetrwam! Żeby tylko trawienie uregulować!... trawienie to grunt! Za mało myślałem o tem dawniej! Oh, si jeunesse savait! Teraz może już zapóźno!

wreszcie, przy mojem życiu akuratnem, nie obciążonem pracą... Co do pracy, to nigdy na nią uskarżać się nie mogłem... dziś na mojem stanowisku jestem... jakby to powiedzieć... no, jestem szyldem, tak, udekorowanym szyldem tylko! Przygryzł usta złośliwie. Ani myśleć, ani mówić nawet nie potrzebuje, rola manekina, ale... wygodna. Wszak i zero przy jednostkach ma swoje znaczenie! Zresztą, co mi tam jaką cyfrę przedstawiam swoją osobą. Cel osiągnięty, a zatem droga była dobra! Przeciw swoim zasadom nie postępowałem nigdy. Hm, zasady! to panorama zmieniająca się przy każdym szczeblu społecznej drabiny! Utopista chyba będzie dowodził inaczej. Pamiętam siebie u stóp karyery, i dziś, kiedy się znajduję na jej szczycie... djabełby chyba w tych ludziach poznał jednego i tegoż samego człowieka! Z tem wszystkiem, krzywdy nie uczyniłem nikomu. Nawet w obietnice i protekcye nie bawiłem się nigdy! Protegowani to kule u nóg. Kto chce iść wysoko, musi wystrzegać się daremnych ciężarów! Trudno o wygodniejsze łożysko nad to, które sobie usłałem! Poruszył bokami, jakby się rozkoszując w wygodnem posłaniu. Nawet wszelkie zachcianki w porę umilkły! Wist elektryzuje mię trochę, ale i to w swojem kółku. Ci czterej naprzykład grają jak żaki, w porę odszedłem, błazeństwo ich zaczynało mię irytować! Wiem, że o dobrych partnerów trudno... dopóki nie upatrzę sobie odpowiednich, nie siądę do stolika. Trzeba się wystrzegać! Od niejakiegoś czasu miewam leciuchne drganie serca... jestto już początek niedyspozycyi... od wzruszeń tedy zdaleka! Wprawdzie okoliczności ku temu rzadko się trafiają! Życie moje ze

wszech stron otoczyło się obłokiem spokoju! Rodzinne moje stosunki naprzykład? To raj, z którego Adam i Ewa dawno wygnana, a wąż?... O nim podanie milczy, ja też nie dopytuję się wcale! Tylko ślepi i głusi mają doskonały spokój! Córka chorowała na czułość w dzieciństwie... Zkąd się to u niej wzięło? Po dziadach chyba? Tuliła się, lubiła pieszczoty, próbowałem wzamian za jej dobre chęci dawać imperyały — wychodziła, zostawiając złoto na stoliku. Odkąd bywa na balach zapomniała o pieszczotach, za to domaga się podwójnej pensyi! Syn urodził się praktycznym! Niemowlęciem jeszcze, zamiast w rękę całował mię w pierścień z brylantem! Oh! ten pójdzie wysoko! Brrr wilgotno! może wrócić? Ale cóż będzie ze snem, jeśli się nie zmęczę ani trochę? Dalej tedy, śpieszniej, raźniej!

Z głową wsuniętą w ramiona, z rękami w kieszeniach, wszedł do bocznej ulicy szerokiemi krokami.

Tu ciemniej było, niż w głównej alei, olbrzymie drzewa nie dopuszczały blasku gwiazd; dal wyglądała niby ciemna masa, przerznięta uźwirowaną drogą, zwężającą się stopniowo.

Na pustych ławkach walały się tu i owdzie zapomniane kwiaty, arkusze przeczytanych gazet. Przed godziną jeszcze ulice roiły się tłumem spacerujących, teraz całe życie skupiło się w klubie i pod oknami, a tylko gwar letniej nocy ożywiał spustoszałe ulice. Wśród liści trzepotało się rozbudzone ptactwo, odzywało się zcicha i milkło, żeby po chwili zabrzmieć w sąsiedniem drzewie. W trawie brzęczały świerszcze, przedrzeźniając śmiałem, doniosłym

głosem brzęk komarów, szmer muszek i motyli, których życie zaledwie wraz z nocą się zaczyna. Gwar ten tłumiły tony walca. Jak echo dalekie przekradały się przez zarośla, szumną falą rozlewały się po ulicach, nierównem, urywanem tępem skakały po oddalonych drożynkach. Nie było miejsca, gdzieby się niezakradły. Czem dalej, tem miększe, drażniące, łechtały ucho, odurzały głowę, niby woń namiętności, zmieszana z pobłażliwą ciemnością nocy!

Powoli owładnęły nawet uwagę jenerała; zwalniał kroku, otrząsając małym palcem popiół z cygara, nadstawiał ucho; myśli snuły się bezładni ej, niedokończone ustępowały przed lekką, swawolną cząstką walca, powtarzającą się kilkakrotnie. Z początku tylko głowę w takt poruszył, potem zaczął pogwizdywać zcicha... dla siebie; w końcu usta zadrgały mu uśmiechem, mrużył lewe oko, raz nawet poruszył plecami trzpiotowato. Sztywne nogi stąpały lekko, odmłodzone o lat dwadzieścia. Koło niego posuwały się zrzadka pary szepczące; gdy się równał z niemi, szept cichł; głowy pochylały się ku sobie — korzystano z przerwy, żeby dopowiedzieć resztę wzrokiem. Wymijał je wyprostowany, a gdy przeszły, spoglądał za niemi nieznacznie, uśmiechał się i gryzł dalej zagasłe cygaro.

Na końcu alei ujrzał kobietę idącą spiesznie; uroda, ruchy, wzbudziły w nim wspomnienie, co jak iskra elektryczna wstrząsnęło całym jego szkieletem. Obejrzał się — kobieta znikła na zawrocie. Stanął wpatrzony w to miejsce, gdzie ją ujrzał.

— Złudzenie — szepnął półgłosem i mrugał powiekami, jakby usiłował przejrzeć jaśniej. Złudzenie.

Przyłożył rękę do czoła.

— A jednak to ona! Tu!

Ta myśl zabłysła nagle w głowie, rozkołysanej tonami walca. Na tych samych wodach przed dwudziestu laty!

— Cha, cha, cha — zaśmiał się jakimś szeleszczącym śmiechem, niby poruszenie skrzydeł ogromnego ptaka.

Miłe ciepło rozlało się w piersiach, przełknął ślinę kilkakrotnie.

— Tak, tu — powtarzał, przebiegając ulice.

Wspomnienie dokończyło tego, co walc zaczął; rozgrzało krew, rozbudziło życie, ale życie młode, dawniejsze, z którem wyglądał, jak trup naelektryzowany. Z pod uśmiechniętych ust wybiegały zęby zczerniałe, oczy błyszczały jak paciorki, powtykane w woskową maskę.

— Co się z nią stało? Wstąpiła na scenę podobno? Śliczne było dziewczę! Zosia czy Dosia? jeśli nie Antosia? Dawno już miałem do czynienia z tym kalendarzem! Zosia! przypominam sobie, śliczna blondyneczka, z czarnemi oczyma... mon genre! Umiała kochać! Ale uparta i ambitna; że by trafiła była na mniej trzeźwego... mogłaby oplątać na zawsze! Szalałem za nią trochę! Nie jedną dobrą chwilkę jej zawdzięczam! *C'etaient mez adieux à la jeunesse!* Ostatni żart przedślubny! Złote to były czasy! A zdrowie moje wówczas! Czy się spodziewałem, że przyjadę tu kiedyś z katarem żołądka, podagryczny, z początkami anewryzmu! Ob, złote to były czasy! Gdzieś tu niedaleko mieli swój domek, mieszkałem u nich przez cały sezon, apartament nie był paradny, ze wszystkich sprzętów Zosia jedna miała pewną wartość...

Wyszedł z parku, obejrzał się w prawo, w lewo; po obu stronach ciągnęła się szeroka, piasczysta ulica, domy, oddzielone od siebie ogrodami, drzemały w ciemnej zieleni.

— Mieścina tak się zmieniła, że możebym i nie trafił. Na prawo zdaje się, w dół, nad rzeką!

Poszedł w tym kierunku, uśmiechnięty, podrygujący. Strzelał oczami na wszystkie strony; w pamięci coraz wyraźniej rysował się domek w krzewach bzu, jaśminu i róż, a nad każdym krzakiem, nad każdym kwiatkiem niemal majaczyła jedna i taż sama twarzyczka, owalna, świeżutka z dołkami na policzkach, z czarnemi, szeroko otwartemi oczyma. I siebie widział młodym, przystojnym, chwytającym w lot wszystko, co się chwycić dało, jak sięgał przez okno po kwiatek, po rączkę raczej, co go podawała. Dziś jeszcze na to wspomnienie ręce zacisnęły się i długo nie chciały odprostowywać kościstych palców!

Zwrócił się w uliczkę, prowadzącą ku rzece. Domki stojące tu niegdyś, czepiały się ogródkami urwiska, zbiegającego nad sam brzeg rzeki. Urwisko pozostało, krzaki jałowcu i berberysu rozrosły się szeroko, ale na miejscu niskich chatek stały dziś dwa wspaniałe domy, obrócone frontem ku rzece; na miejscu ogródków rozesłały się trawniki powycinane w misterne klomby; kwitnące oleandry w dwu szeregach rozbiegały się wzdłuż okien; słupy przed gankiem zdobiły stuletnie agawy. Szeroka, uźwirowana droga, obiegała dokoła dziedziniec; brama zamknięta, okna zasłonięte białemi sztorami; przy jednym z ganków leżał wielki pies czarny. Usłyszawszy kroki, podniósł głowę, uderzył ogonem po piasku.

— Hm, niezłe, wcale nieźle, zauważył jenerał, okrążając podwórze, otoczone zielonemi sztachetami. Trzeba będzie dowiedzieć się, czy nie do wynajęcia. *Comfortable!* widok dobry!

Odwrócił się plecami do domów. Piękna panorama rozesłała się przed jego oczyma. Wysoki brzeg, poszarpany fantastycznie przez czas i ulewy, zbiegał krętemi ścieżkami do Niemna, co niby senny płynął spokojnie, bez szmeru, zadumany, czy leniwy, zdawał się być symbolem swego kraju, swoich ludzi... I oni również zwolna dążą naprzód... ale — dążą, i ich natura głęboka, jak dno rzeki, nie ugina się pod ciężarami, nie szumi, nie faluje bez potrzeby... Widzi przed sobą jedno wielkie ujście — morze wiedzy, dąży do niego według sił i możności... Nie na skrzydłach wprawdzie, a nawet i nie krokiem szczęśliwych!

Na drugim brzegu ciemny las piętrzył się ku górze i ginął w obłokach.

— Zapewne do wynajęcia — powtarzał — zwracając głowę kolejno od rzeki do domów. Oni tu wszystko wynajmują! Chyba, że mię ktoś uprzedził! A może to jej domy? Uśmiechnął się. Dobrze byłoby. Między starymi znajomymi interes łatwiejszy.

Czuł się zmęczonym trochę przechadzką po piaskach i to wprawiło go w dobry humor. Oparł się plecami o sztachety, zdjął kapelusz i wyjąwszy fular z kieszeni, zaczął ocierać czoło, twarz, brodę; wietrzyk igrał z rzadkimi włosami — poddawał się tej pieszczocie bez oporu.

Tuż przed nim, nad samym brzegiem urwiska, kilka karłowatatych drzewek, pozostałych z dawnego ogródka

sterczało w trawie wysokiej.

Przy jednem z nich, przysłonięta twarzą do pnia, stała kobieta; taż sama, którą spostrzegł w ulicy parku. Wysoka, bardzo szczupła, odziana była w czarną suknię, czarna peleryna zwieszała się z kościstych ramion; podarta koronkowa chusteczka przykrywała tył głowy; pasma jasnych włosów spadały na skronie, plątały się ze strzępami koronki; bez mankietów, bez rękawiczek, chude, o długich palcach ręce, ściskały konwulsyjnie pień drzewa. Twarz, młoda jeszcze, wydawała się bardzo biała, wychudła, ze sterczącemi kośćmi na policzkach nosiła ślady choroby czy nędzy; głęboko zapadłe oczy wyglądały jak czarne plamy przy bladych policzkach. Stała wpatrzona w ziemię i tak bardzo przyciśnięta do drzewa, że zdaleka można ją było przyjąć za część pnia o ciemniejszej nieco korze.

Na odgłos kroków jenerała podniosła głowę, przymrużyła oczy, wpatrzyła się w niego z natężeniem.

Gdy dla otarcia potu zdjął kapelusz, kobieta cofnęła się, nie dowierzając własnym oczom, wysunęła szyję i zwolna bez szmeru, postąpiła naprzód. Drzewka ją przysłaniały, trawa tłumiła kroki. Stanęła przed jenerałem, zanim on zdołał spostrzedz jej obecność.

On zadrżał, ręka z fularem opadła, zdumiony pochylił się mimowoli ku stojącej.

Byli prawie równego wzrostu; spojrzeli sobie w oczy, profile ich ostre, ze spiczastemi brodami, wyglądały jak sylwetki szkieletów, ogryzionych przez zbytek i nędzę.

— Tak, to ty — zawołała, odstępując parę kroków — pewna byłam, że cię zobaczę raz jeszcze!

Zdumienie ustępowało przed ponurą zadumą, z której przebudziło ją przybycie jenerała; uśmiechnęła się szydersko, spojrzała przez ramię jego na uśpione domy. Myśl jakaś gnębiąca pochłaniała ją w zupełności; nawet to spotkanie, tak niespodziewane i tak bolesne zarazem, poruszyło ją na jedną chwilę zaledwie.

On zaś zaskoczony tak niespodzianie, zmieszał się, uchwycił ręką za ogrodzenie.

— Kto tu — wybąknął, usiłując nadać twarzy surowy wyraz.

— Nie poznałeś — zawołała kobieta. Stara, bardzo stara znajoma.

Zmierzyła go wzrokiem, podniosła oczy do twarzy z wyrazem pogardliwego szyderstwa.

Jenerał ochłonął. W głosie, chociaż bardzo słabym i ochrypłym, dźwięczała znajoma nuta, przytem miał czas poznać figurę i rysy.

— Owszem... owszem — odrzekł z przyśpieszonym oddechem — pomimo wielkiej zmiany.

Owładnęła nim jakaś niespokojna ciekawość. Obrzucał wzrokiem stojącą przed sobą kobietę, ale nie miał odwagi spojrzeć w jej twarz uważniej.

— Zmieniliśmy się oboje — odrzekła, postąpiła kilka kroków i oparła się dłonią o sztachety. Jej myśl, uwaga, dusza cała skupiała się tam, w domach; obecność jenerała zdawała się być coraz więcej obojętną.

On to zauważał, zwrócił się ku niej trochę zdziwiony.

— I ja więcej się domyśliłam, niż cię poznała — dodała, jakby przebudzona jego ruchem. Po co tu przyszedłeś?

Spojrzeć na naszą przeszłość? Nie zapomniałeś tedy? pytała, wpatrując się w jego twarz. Tyle lat! Ja sama... sądziłam, że już potrafiłam zapomnieć! Bo i ja od lat dwudziestu, dziś pierwszy raz jestem tutaj! Tak, od tej jesieni, kiedy rzuciłeś mię samą z hańbą i pogardą ludzką, jestem tu pierwszy raz... Przywędrowałam przed godziną z trupą aktorów.

Zaśmiała się przeciągle; głos jej był cichy, nierówny, ostre dźwięki wyrywały się od czasu do czasu. Chciała panować nad sobą, ale sił brakło, pierś podnosiła się od tłumionego łkania. Chwilami żyły na szyi naprężały się, jakby krzyk straszny ugrzązł w gardle. Twarz tylko pozostała doskonale spokojną.

— Więc tu nie mieszkasz? — spytał jenerał, trochę niezadowolony ze spotkania. Spojrzał ku drodze i włożył kapelusz niby od niechcenia.

— Nie, ani tu, ani na całym świecie nie mam swego kąta! Nie mam! Rodzina mię odepchnęła! W pierwszych chwilach strasznej boleści, mało dbałam o to! Sądziłam, że wśród obcych łatwiej zapomnieć, że szałem żal stłumię. Ale ja szaleć nie mogłam! Kałuża wstrętną mi była... a na drugą miłość sił brakło. Nędza otrzeźwiła z bólu. Nie jeden, sto grzechów zgładziłabym tem, com przecierpiała! Nie przebaczyli jednak! Sądziłam, że zapomniałam o nich, o świecie całym, że... skamieniałam w poniewierce. Tak myślałam do dzisiejszego wieczoru, nim stanęłam twarz w twarz z przeszłością. Tu wszystko odżyło! Sumienie zdawało się czekać tej chwili, by się przebudzić dla roztrząsania brudnych szmat dwudziestoletniej włóczęgi.

Oh, straszna ta chwila!

Jenerał wpatrzył się bardzo uważnie w rękawiczkę i już nie miał ochoty przypatrywać się twarzy kobiety; widział bowiem, że zmieniła się strasznie, była starą, brzydką, a w dodatku egzaltowaną.

— Aktorka, hm, aktorka, dać jej cośkolwiek i zmykać; tylko, że jak się wnęci... to nie odczepię się od niej.

Podniósł rękę do tej strony żeber, gdzie bywa serce i portmonetka.

— Doznałam już wszystkiego — mówiła, odetchnąwszy z całych piersi — boleści, pogardy, pracy ciężkiej, ale dziś zaledwie poznałam zazdrość!

Obrzuciła jenerała suchym, błyszczącym wzrokiem.

Cofnął się zdziwiony, z uśmiechem.

— Cha, cha! Zgrzybiały Don Żuan — zawołała — odrzucając głowę z szyderstwem. Nie lękaj się; nie o ciebie tu idzie! Dziś już nawet pogardzać tobą nie umiem. Spotykałam podobnych tysiące, dokąd świeciły oczy i skóra nie przyschła ostatecznie do kości! Dziś nawet zanadto jestem dumną, żebym miała poniżyć się do zazdrości o ciebie! Ja pozazdrościłam spokoju, życia użytecznego.!. niepokalanej przeszłości! Wszystkiego tego zazdrościłam rodzonej siostrze mojej, gdy ukryta za drzewem przyglądałam się jej i dzieciom, krzątającym się koło trawników! I ona musi mieć ciężkie chwile... Ale ona żyła, spełniła co mogła, jej życie drogie, potrzebne, ona ma dach nad głową, rodzinę, szacunek ludzki, ona człowiek. A ja, ja piętno rodziny, nazwiska swego nosić nie śmiem! Żeby tu przyjść, spojrzeć raz jeszcze na kąt rodzinny, musiałam

czekać nocy! Nie śmiałam, lękałam się, żeby mię poznali! Dla nich ja dawno umarłam... niechże widmo moje nie rzuca plamy na czyste ich imię!

Zacisnęła pięście, jednym rzutem oka obrzuciła domy, trawniki... i rzekę cichą... głęboką...

Wspomnienie o własnym dachu najwięcej trafiło do przekonania jenerała. Spojrzał na nią z ukosa.

— Hm, chora, widać, że chora... można byłoby ją...

— Trzeba się podleczyć — przemówił... zdrowie wszystko naprawi. Mam stosunki, z łatwością mógłbym umieścić na letni sezon w szpitalu...

Zająknął się... Kobieta, wpatrzona w niego uporczywie, wykrzywiła usta w szyderskim uśmiechu.

— Szpital! — zawołała i zaśmiała się długim przeraźliwym śmiechem.

Teraz zaledwo wyrwał się ten krzyk, co pierś i gardło rozsadzał. Brzmiała w nim boleść, nienawiść, pogarda, szyderstwo, słowem wszystko, z czego się składa dusza — sponiewieranych.

Nazajutrz jenerał obudził się późno; noc miał niedobrą, nogi odrętwiały pomimo ogrzanej flaneli, żołądkowa niedyspozycya dawała znać o sobie... przysłuchiwał się sercu... z tej tylko strony wieści były pomyślne: uderzało regularnie, z powagą, właściwą wiekowi i stanowisku.

Gdy wszedł lokaj z herbatą na srebrnej tacy, pierwszem zapytaniem było:

— A jaka pogoda?

Za całą odpowiedź lokaj uchylił zieloną firankę u okna. Do pokoju zajrzało słońce jasne, wesołe, jakby tylko samo

szczęście oglądać zwykło.

— A w miasteczku harmider — przemówił lokaj, podsuwając stolik z przyborem do łóżka; jakaś aktorka utopiła się... Zamilkł zdziwiony miną pana.

Jenerał usiadł; oczy otworzył szeroko, dolna warga opadła, rzadkie kosmyki włosów, sterczące na skroniach i nad czołem, czyniły twarz jego dziwnie przerażoną. Poruszył ustami, ale na słowo zdobyć się nie mógł.

— Jakieś ladaco! — uspakajał lokaj, sądząc, że pan się lęka, żeby nie stracić przyjemnego widowiska. Teatr grać będą... dziś nawet!

Jenerał opadł na poduszki. Gdy po chwili lokaj wychodził, przywołał go ode drzwi.

— Słuchaj, powiedz faktorowi, żeby się dowiedział, czy te ładne domy za parkiem, nad urwiskiem do najęcia? Wiesz o jakich mówię? Wielkim palcem wskazywał w stronę domów.

Lokaj skinął głową.

— Wiem panie. To tam właśnie utopiła się aktorka. Chodziłem patrzeć!

— Głupcze, ruszaj precz!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Józefa Sawicka](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Stary... żart

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Joanna Le
- NuxBot
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium